

Andrzej Sepkowski

Strachy Ameryki

SŁOWA KLUCZOWE:

mit, strach, Ameryka, kryzys, spisek, wróg

Człowiek jest aktorem na ogromnej scenie grającym wiele ról, poszukującym ciągle nowych prawd dla niepojętej rzeczywistości – zauważał socjolog i nie jest to stwierdzenie odkrywcze, ale należy do takich, które trzeba powtarzać¹. Myślący dualnie porusza się między nadzieją a strachem i z pozoru hołdujący kumulatywnemu postępowi pali swój ogarek teoriom degeneratywnym, katastroficznym. Niekiedy można odnieść wrażenie, że dokonuje spontanicznych korekt wyobrażeń zbiorowych wtedy, kiedy optymizm bierze górę nad pesymizmem, a widzimy to śledząc aktywizujące wizje rewelatorów pojawiających się wtedy, kiedy strachy stają się dysjunktywne, paraliżujące. Nigdy nie jest tak dobrze, by nikło przekonanie, że może być gorzej i na odwrót. Dysponenci władzy symbolicznej, choć niekiedy nie zdając sobie sprawy z jej siły, zdają się empatycznie pojmować konieczność homeostazy strachu i nadziei, i co jakiś czas dokonują ich rewitalizacji, nie zawsze zdając sobie sprawę z konsekwencji takich zabiegów. Często bywają one wymuszane sytuacją, często są konsekwencją presji oddolnej. W poniższej prezentacji chcemy przyjrzeć się kreacjom amerykańskich strachów wieku XX zdając sobie sprawę z tego, że będzie to ledwie szkic dostarczający jedynie kilku przesłanek do dysputy o strachach zbiorowych.

Ziemia wybrana przez Boga, naród przymierza, bywały doświadczane wieloma plagami, tak je przynajmniej odbierali sami Amerykanie, nie dostrzegający zwykle tego, że doświadczają ich inni albo sami siebie, nie Opatrzność. Millenarystyczni, przeświadczeni o tym, że ich prze-

¹ J.M. Charon, *Ten Questions. A Sociological Perspective*, Minnesota State University 2001, s. 117.

znaczeniem jest realizacja wielkich planów boskiego ekonomy, traktowali wszelkie przeciwności jako próby, którym są poddawani i każda z nich była wyzwaniem stworzonym nie przez człowieka, a transcendencję – tak przynajmniej widzieli to rewelatorzy nie tylko wieków XVII–XIX. Przeświadczeni o takim charakterze prób, powodowani dogmatami swojej „religii obywatelskiej” wykształconej w początkach osadnictwa angielscy Amerykanie nie poddawali się swoim obeszładniającym strachom. Przez wieki radzili sobie z nimi w dużej mierze dzięki specyficznym nadziejom zbiorowym długiego trwania, choć nie unikali naturalnych obaw o tysiące spraw, jak każda społeczność, ale takie małe strachy bywały zwyczajne, oswojone. Te towarzyszące im nadzieje rodziły wielkie wizje „miasta na wzgórzu” i „latarni dla świata” kultywowane, rytualizowane jeszcze w czasach kolonialnych, przyjmujące nowe postaci w „manifestach przeznaczenia” wieków XIX i XX. One wypierały strachy tak niewinne, jak obawy natywiistów przed załaniem Ameryki przez katolików czy nie-Anglosasów, a w innym czasie strachy przed industrializacją, wojnami.

Pozostawiając na uboczu strachy wieków XVIII i XIX chcemy przyjrzeć się tylko tym, które pojawiły się w XX w. Amerykanie poczęli poznawać te nowe strachy od czasu, w którym stracili niewinność przystępując do wojny, co z emfazą zauważał P. Larkin². Być może miał na myśli koniec dzieciństwa i wejście w wiek męski, a czas inicjacji zwykle niesie ze sobą wiele zawodów. Zawiódł się misyjny prezydent marzący o tym, że to, w „co wierzymy może stać się prawami pokojowej, bezpiecznej ludzkości”³, zawadzili się obywatele zmuszani do ogromnego wysiłku i nie zauważający erozji swoich wolności. Nie zauważali jednak, że ich misyjne państwo traciło niewinność nie przez wejście do wojny, ale przez sprzeniewierzenie się sobie samemu. Państwo, tworzące milionową armię, narzucało nowe ciężary, występowało przeciw swoim niemieckim obywatelom gwałcąc testamenty założycieli, wsadzało do więzień tych, którzy ośmieli się uznać wojnę za niesprawiedliwą. Ale to było ledwie preludium do prawdziwego siewu strachów w państwie przeżywającym prawdziwą *prosperity*.

W okresie powojennego załamania koniunktury pojawiły się strachy przed zalewem nowych imigrantów i na tej fali ksenofobii, nie pierwszej w historii Stanów, Kongres postanowił reglamentować ich przyływ. W 1921 r. ustalił kwoty imigracyjne z Europy na 358 tysięcy rocznie i po raz pierwszy Ameryka poczuła, że staje się twierdzą. Za tym poszło

² P. Fussell, *Introduction*, [w:] P. Fussell (ed.), *Modern War*, New York 1991, s. 29.

³ R. Hofstadter, *The Age of Reform*, New York 1955, s. 279.

budzenie nowej fali natywizmu inspirowane przez sprzeniewierzającą się samej idei „narodu narodów” administrację. Ta fala była specyficzna, nabrzmiała uprzedzeniami, a niekiedy nawet nienawiścią. Uważający się za 100% Amerykanina M. Palmer wołał w roku 1924: „Właściwy Amerykanin to biały chrześcijanin. Afrykanie, Azjaci i inne rasy z Europy nigdy nie uczynią tego ładu wielkim”⁴. Jeden z ideologów natywizmu tego czasu M. Grant powiadał, że jeśli dalej będzie trwała ta żywiołowa emigracja, to rdzenny Amerykanin wkrótce zniknie. Ginęły Rzym, Bizancjum zalane przez hordy obcych, a Nowy Jork już stał się kloaką narodów i nie był ani pierwszym, ani ostatnim, który używał takich argumentów.

Przedstawiciele państwa, nie radzący sobie z załamaniem gospodarczym ani symptomami słabości, w tym z przestępczością zorganizowaną, której prawdziwą erupcję zauważono po wprowadzeniu prohibicji, bez problemów odnaleźli mitycznego wroga. Bolszewizm stał się jakby „sumą wszystkich strachów” tamtego czasu. W nim odnaleziono źródła zła, często łączonego z imigrantami. One nie stanowiły znanego ani poważnego zagrożenia, ale człowiek mityczny domagał się wyjaśnień i dla niego tworzono klasyczne, ale i funkcjonalne teorie spiskowe. Łączono atak na imaginowanego wroga z próbami podporządkowania w miarę niezależnych środowisk, w tym uniwersyteckich, co widać w wielu enuncjacjach, w tym w oskarżeniach magnata naftowego I. Doheny, który przekonywał, że „największym niebezpieczeństwem dla Ameryki jest socjalizm i jego odmiany: komunizm i bolszewizm, a większość naszych uczonych uniwersyteckich w Stanach uczy socjalizmu i bolszewizmu”⁵. Miał swoje niepełne racje, bo choćby były, *muckraker* L. Steffens głośno twierdził po swojej wizycie w bolszewickiej Rosji, że był w przyszłości, dodając: „To nie fantastyczny sen. Takie doskonałe społeczeństwo jest w każdej chwili budowane w Związku Radzieckim”⁶. Steffens dał się zwieść rosyjskim wizjonerom i nie trzeba mu było nawet oglądania wsi potiomkinowskich, których i tak wtedy nie było, oszukano go słowami. Tu pojawia się pytanie o to, jak łatwo można było zwodzić wizjami idealnego społeczeństwa altruistycznych intelektualistów i próbując odpowiedzieć na nie wciąż widzimy siłę wizji, siłę soteriologii zawartej w tych ideach. Być może to siła komunistycznej soteriologii, która przez dziesięciolecia

⁴ M.E. Marty, *Modern American Religion. The Noise of Conflict 1919–1941*, Chicago 1991, s. 60.

⁵ A.M. Schlesinger Jr., *The Crisis of Old Order. The Age of Roosevelt*, Boston 1988, s. 49.

⁶ L. Steffens, *Letters*, New York 1938, s. 182.

uwodziła miliardy ludzi, wydawała się o wiele bardziej niebezpieczna zagrażając soteriologii zawartej w *American Creed*?

Nie próbując szukać istoty tego „opium dla intelektualistów” zauważamy tylko, że socjalizm i bolszewizm nie były wielkim zagrożeniem dla tkanki społecznej Stanów. Niemal wszyscy badacze zauważają, że partie o takim profilu były wtedy tylko folklorem politycznym, ale znakomicie służyły jako pretekst w wyjaśnianiu istoty czasowego załamania, które owocowało spadkiem realnej wartości pieniądza, poziomów życia. O bolszewizmie wiedziano niewiele, ale to nie było przeszkodą w kreowaniu zagrożenia, a oczywistą zaletą. A chcący pogodzić się z takim światem Amerykanie nie zauważając tego, zarazili się „czerwoną gorączką” i nie wydaje się, by wtedy interesowała ich poprawna diagnoza. Strachy zbiorowe bywają koniunktywne wtedy, kiedy łączą zbiorowości, a ten, będący dziełem prokuratora generalnego, wspomnianego M. Palmeta, był właśnie strachem łączącym. Wróg był zupełnie nieznany, a przez to jeszcze groźniejszy, bo mógł kryć się wszędzie. Mityczny człowiek stojący przed progiem „lustracji” nie pytał o wiele, także o to, czy przedstawiciel władzy sądowniczej nie próbuje maskować tym innych intencji. Palmer, działający zapewne za przyzwoleniem zmęczonego Wilsona i całego establishmentu, pomagał w osiągnięciu kilku praktycznych celów. Z jednej strony umożliwił zdecydowane pacyfikacje strajków i pretekstem dla pacyfikatorów były tu oskarżenia o ingerencję obcych, ciemnych sił, a z takimi sugestiami raczej nie można było polemizować. Z drugiej strony *Red Scare* tłumaczyła zahamowanie przyływu imigrantów, z trzeciej pozwalała na deportację wielu niewygodnych przybyszów, nie tylko z Rosji. Wymierną korzyścią było ciągle poszerzanie prerogatyw egzekutywy ingerującej w prywatność, a dla samego prokuratora korzyścią największą miała być prezydentura, w którą mierzył. Mityczny Amerykanin, porażony wizjami wroga grożącego wszystkiemu co amerykańskie, przyzwalał na ograniczanie swojej mitycznej wolności obezwładniany hasłami o konieczności obrony narodowego bezpieczeństwa, a oznaczało ono nic innego jak obronę wolnego narodu z jego fundamentalnymi wartościami i instytucjami⁷.

Rozpoczęły się prawdziwe polowania na czarownice i trwały, mimo że ruch komunistyczny w Stanach tego czasu był subkulturą polityczną luźną, konfederacją lewackich indywidualności, idei, niemającą szans na zorganizowanie wyobrażeń zbiorowych ludzi pracy najemnej – tak przy-

⁷ E.R. May, *National Security in American History*, [w:] G. Allison, G.F. Trevcoton (ed.), *Rethinking America's Security. Beyond Cold War to New World Order*, New York 1992, s. 94.

najmniej uważał historyk idei⁸. Komunizm nie miał szans w Ameryce, gdzie „soteriologia ziemska” wspierała się o przekonania, że zbawienie w doczesności zawdzięcza się sile rąk i umysłów, przekonania potwiermowane religiami (transcendentną i „obywatelską”) i potwierdzane praktyką społeczną. Zwykle praktyczni Amerykanie nie byli w stanie zawierzyć obietnicom bezproblemowej przyszłości mającej być dziełem transcendentnych sił wytwórczych. Ale im także były potrzebne mityczne wyjaśnienia, które tworzyły nowe sposoby komunikacji w wyobrażeniach. Wystarczyły im hasła, takie jak choćby W.T. Ellisa, który podkreślał konieczność samoobrony przed komunizmem, uważając to za największy obowiązek demokracji⁹. Obywatele godzili się na wypieranie jednych strachów innymi przy wtórze argumentów, że ograniczenie ich wolności jest czasowe, ale doraźna akceptacja takich ograniczeń stawała się pełną po czasie. Agendy państwa potrafiły skutecznie legitymizować większe prerogatywy choćby argumentami o świętości demokratycznego prawa, które odtąd służyć będzie prewencji przed takimi zagrożeniami jutro.

Rajdy palmerowskie przeciw wszystkim małym strachom okresu załamania skończyły się wraz z powrotem *prosperity* i odejściem przegranego dla siebie i świata Wilsona, na którego miejscu zasiadł zwolennik „normalności”, prezydent Harding, nieoceniany zbyt pochlebnie przez historyków, choć z jego czasami kojarzono początek szalonych lat 20. Chęć życia prawdziwą pełnią odsunęła strach na trzeci plan. Powrócił bezkrytyczny optymizm podbudowany postępami nauki, a z nim wiara w to, że nauka może wyjaśnić wszystko, zlikwidować biedę, choroby, a nawet samą śmierć. Kaznodzieje znów krzewili wiarę w „alergiczną ideę, że nadludzkie siły kontrolują indywidualne losy”¹⁰. Takie wyjaśnienia, ocierające się o transcendencję, wystarczały i Amerykanie oddali się smakowaniu owoców *prosperity* w przekonaniu, że są zasłużone po okresie postu. Dualny człowiek zdaje się często orbitować ku skrajnościom i po doświadczeniu strachu doświadczano nadziei. Życie i użycie było możliwe o każdej porze i w każdym miejscu. Tańczono charlestona, oglądano nowe komedie i melodramaty, kupowano nowe samochody, przemycaną pokątnie albo produkowaną na miejscu whisky, fascynowano się zawodami sportowymi w przekonaniu, że najlepszy czas dopiero się zaczyna. Niewielu wzywało do umiaru, ostrzegając przed skutkami tej

⁸ E. Schrecker, *Many are the Crimes. Mc Carthyism in America*, Boston 1998, s. 5.

⁹ D.M. Oschinsky, *A Conspiracy so Immense. The World of Joe Mc Carthy*, New York 1985, s. 87.

¹⁰ K.S. Newman, *Declining Fortunes. The Withering of American Dream*, New York 1993, s. 89.

„nieszczęsnej gorączki”¹¹. Ale ci „fundamentaliści”, grożący biblijnymi karami, ginęli w radosnej, roześmianej masie. Nie słuchano ich, zdawali się duchami z przeszłości. W takim czasie wszystko przemawiało za tym, że Stany są pierwszą potęgą świata, że ziściły się przepowiednie założycieli kolonii i państwa i wyjątkowa demokracja jest już zapowiadana „latarnią dla świata”, tym „miastem na wzgórzu” profetycznego J. Winthropa. Ten żywiołowy optymizm umacniały jeszcze zapewnienia polityków, a prezydent Coolidge z wiarą mówił w swoim pożegnalnym przemówieniu w grudniu 1928 r., że nigdy w dziejach Stany nie miały tak wspaniałych perspektyw¹². Takiego zdania był jego następcą, „advokat amerykańskiego indywidualizmu” Hoover, który w marcu 1929 r. podtrzymywał nadzieje Amerykanów mówiąc: „Nie obawiam się o przyszłość naszego kraju. Jest jasna od nadziei”¹³.

Czas konsumpcyjnej euforii skończył się niespodziewanie niosąc niezrozumiałe, a przez to bardziej brzemiennie w konsekwencje, zagrożenia. Krach giełdowy zniszczył instytucję kredytu. Koła gospodarki zatrzymywały się, niepojęty kryzys przenosił się na rolnictwo i po kilku latach *prosperity* Amerykanie musieli uczyć się sztuki przetrwania. Złote lata zakończyły się finansowym Armageddonem. Dawne wyobrażenia o świecie i sobie samych uległy destrukcji, a naród – jak pisał W. Lippman – stracił zaufanie we wszystko i we wszystkich¹⁴. Amerykanie mogli je stracić, kiedy zostawali sami dla siebie, po odrzuceniu przez Hoovera pomysłu dożywiania najbardziej potrzebujących. Wierzący w „czysty” indywidualizm prezydent powtarzał, że muszą radzić sobie sami. Muszą być wierni ideałom przedsiębiorczości szukając swoich szans w tych ekstremalnych warunkach, choć te warunki nie tworzyły wielu szans nawet najbardziej inicjatywnym. W trzecim roku kryzysu stał się bodaj najbardziej znienawidzonym prezydentem tego wieku. Dzielnice nędzy wielkich miast nazywano *Hooverville*, a gazety jakimi okrywali się bezdomni nazywano „kocami Hoovera”. Nędza milionów przeradzała się ze strachu w apatię, ale rodziła także naturalne odruchy samoobrony i naturalne było poszukiwanie remediów na beznadzieję. Nadzieje krótkiego trwania wyczerpywały się i państwu zaczęły grozić konwulsje. Właśnie wtedy pojawił się podatny grunt na idee komunistyczne. Właśnie wtedy,

¹¹ H.L. Mencken, *Hill of Zion*, [w:] C. Bode (ed.), *American Perspectives. The United States in the Modern Age*, Washington 1992, s. 101.

¹² J.K. Galbraight, *The Great Crash*, Boston 1988, s. 1.

¹³ A.M. Schlesinger Jr., *The Crisis of Old Order. The Age of Roosevelt*, Boston 1988, s. 155.

¹⁴ R. Dallek, *Franklin Delano Roosevelt and American Policy 1932–1945*, New York 1995, s. 35.

a nie w czasach Palmera, komunizm stawał się interesującą alternatywą – zauważał historyk¹⁵. Próbujący odnajdywać jakieś rozwiązania oglądali się także na rozwiązania włoskie, a nawet japońskie. A w Stanach znano słowa Mussoliniego mówiącego, że faszyzm to nowa religia, może przenosić góry. Faszystowski „American Review” cieszył się przecież sporą popularnością, a grunt pod przyjęcie nowej wiary zdawał się podatny. Eskalacja strachu i niemocy państwa przejawiała się w manifestacjach siły, kiedy to generał McArthur dokonał pacyfikacji weteranów wojny domagających się dotrzymania wielu obietnic administracji, a pacyfikował ich przy pomocy czołgów.

Zmęczeni strachem, poszukujący depozytariuszy nowej nadziei Amerykanie nie zawierzili cudownym remediom na uzdrowienie sytuacji. Nie zaakceptowali receptur komunistycznych ani faszystowskich, odwrócili się od republikanów poszukując jej u kandydata demokratów F.D. Roosevelta. Roosevelt obejmował władzę w sytuacji niemal beznadziejnej, czując nieufność establishmentu obawiającego się o to, że ten „socjalista” będzie poważnym zagrożeniem dla monopoli, a o socjalizm oskarżano go często¹⁶. Bezrobocie sięgało rozmiarów astronomicznych, a wraz z nim strach, beznadzieja sięgały granic wytrzymałości. Nowy prezydent zdawał się doskonale rozumieć stan ducha obywateli i konieczność rewitalizacji starych amerykańskich wartości i stąd te słowa, które najmocniej zapadały w serca i umysły: „Jedyną rzeczą jakiej musimy się bać jest sam strach”¹⁷.

Wielkie strachy Ameryki zepchnięto na plan drugi już w czasie magicznych Stu Dni nowego prezydenta, magicznych podwójnie, bo wypełnianych działaniami magicznymi. Altruizm FDR nie daje się kwestionować, ale niemal każdy krok administracji służył dalszemu ograniczaniu wolności obywateli, choć zdawać się mogło, że jest inaczej. Nowy Ład miał oznaczać nowe, silne, sprawiedliwe, opiekuńcze państwo, jakim Stany nie były do tego czasu. Społeczeństwo chcące wyzwolić się od strachów uwierzyło w skuteczność reform. Ameryka tego czasu potrzebowała nowych nadziei i zyskiwała je dzięki prezydentowi, a wiara w siebie oznaczała powrót wiary w stare ideały, niekiedy w archaicznych, millenarystycznych formach, jak choćby w tej, jaką zaproponował głośny kaznodzieja W. Gładen zafascynowany rozmachem New Deal: „Królestwo Boże może być zrealizowane na ziemi, ale tylko wtedy, kiedy zostanie

¹⁵ E. Schrecker, *The Age of Mc Carthyism. A Brief History with Documents*, Boston 2002, s. 7.

¹⁶ A.M. Schlesinger Jr., *The Coming of New Deal*, New York 1988, s. 121.

¹⁷ J.Mc Gregor Burns, *Roosevelt. The Lion and the Fox*, San Diego 1984, s. 163.

wykonana wielka praca”¹⁸. W ferworze przyspieszenia wiele inicjatyw prezydenta okazywało się klasycznymi niewypałami, ale one były takimi dla ekspertów, nie zaś dla przeciętnych zjadaczy chleba, którzy otrzymywali od państwa gwarancję płac minimalnych i 40-godzinny tydzień pracy, a miejsc pracy było coraz więcej i tylko roboty publiczne wchłonęły około 2 milionów rąk. Obywatele dawali prezydentowi przyzwolenie na dalej idącą ingerencję w życie gospodarcze i społeczne i polityczne, płacili za nowe nadzieje nie dostrzegając ceny.

Wojna zagościła w domach Amerykanów nim jeszcze zdążyli poznać wszystkie pokusy sybarytyzmu. Słuchali o niej w radio z wiarą w słowa publicysty „Time” i „Life” H. Luce’a, który anonsował początek Amerykańskiego Wieku inicjowanego przez najsilniejszy i najbardziej witalny naród świata¹⁹. Z dumą przyjmowali zapewnienia, że taki naród winien stać się sędzią, globalnym rozjemcą i znowu nie przyglądali się cenie narodowej dumy. Wojna toczyła się daleko od domu. Falsyfikowano wielkość ofiary, a tę przedstawiano jako konieczną dla stworzenia świata bez wojny. Siewcy strachów sprzed niewielu lat stawali się sprzymierzeńcami w walce o takie same wartości i Rosjanie i Stalin bywali prezentowani jak pewni, wiarygodni sojusznicy²⁰. Sugerowano, że straszliwe doświadczenia wojny zmieniły postać komunizmu i po takich Rosjanie będą skłonni stanąć ramię w ramię z Amerykanami przy odbudowie zniszczonego świata i wspólnie uczynią go lepszym, bezpiecznym. Trwała rytualizacja obrazu robiła swoje. Obywatele byli przekonywani do tego, że Rosjanie są tacy sami, jak i oni, a poza tym niezwykle bohaterscy. Poświadczało to wielu wysłanników do Rosji i wedle choćby V. Irwinga „odwaga i desperacja Rosjan są nie do opisanego”²¹. I tu dokonania kreatorów wyobrażeń zbiorowych przekonywał jak łatwo można zmieniać formy przestrzeni mitycznych przy konsekwentnej rytualizacji, jak łatwo obywatele poddają się zabiegom zmieniającym ich przestrzenie mityczne.

Po nadziejach okresu wojny, zdestruowanych konsekwentnie imperialną polityką Stalina, znowu pojawił się „koszmar w czerwieni”. Pojawiło się wyzwanie, jakie nie stało przed Ameryką nigdy. By mu sprostać trzeba było skonsolidować się wokół jednego celu z wizerunkiem jednego wroga przed sobą i zaczęto intensywnie rytualizować jakość, jaką Amerykanie nazywają „religią obywatelską”. Retoryka narodowa stawiała się codzien-

¹⁸ Cyt. za: A.M. Schlesinger Jr, *The Crisis of Old Order...*, s. 23.

¹⁹ L.S. Wittner, *Cold War America*, New York 1978, s. 113.

²⁰ R.M. Fried, *Nightmare In Red*, New York 1990, s. 15.

²¹ S. Hynes, A. Matthews (ed.), *Reporting World War II*, New York 1995, t. II, s. 716.

nością. Amerykanie składali przysięgę lojalności wobec flagi, z imieniem Boga na ustach gotowi bronić tego, co mieli. Nadzieje na dominację, na *prosperity* gospodarczą zaczęły splatać się z nowymi strachami przed komunizmem.

Jeszcze przed pamiętnym wystąpieniem Churchilla w Fulton, wiceprezydent Wallace zaczął mówić o rodzimych komunistach, że każdy z nich zostałby rozstrzelany w Rosji bez sądu, a w prasie pojawiły się sugestie, że komunizm to strach i paranoja, a obowiązkiem administracji jest postawienie im granicy²². Niepokój Amerykanów budziło coraz więcej przesłań polityków, którzy twierdzili (jak W. Bullitt), że ostatecznym celem Rosjan jest podbój świata²³. W prasie i literaturze pojawiły się liczne wizje Stanów podbitych przez Rosjan i znane także Polakom groźby krańcowego egalitaryzmu, z odebraniem wszelkiej własności prywatnej na czele. Po wybuchu pierwszej rosyjskiej bomby atomowej i wydarzeniach w „przegrzanych” Chinach, zaczął pojawiać się syndrom oblężonej twierdzy i potrzeba konsolidacji obywateli wobec wspólnych, a niekwestionowanych wartości mogła, a nawet musiała stawać się ewidentna. „Ostatnie sukcesy komunistycznych metod w wielu krajach i natura komunistycznego ruchu prezentuje się jak ewentualne niebezpieczeństwo dla USA” – głosił *Emergency Detention Act* pełen sugestii o konieczności natychmiastowego przeciwdziałania²⁴. Obywatele chcący chronić swoje małe szczęścia godzili się z opiniami, że członkowie partii komunistycznej, wszelkiej maści lewacy, to fanatycy, część globalnej konspiracji, która zrobi wszystko, co rozkaże Stalin. Wymuszenie narodowej zgody na wspólną walkę z nimi nie było trudne po przywołaniu starych/nowych strachów, choć znowu koszty takiej zgody ukazały się dopiero po czasie.

Niebezpieczeństwo komunizmu było tak nieokreślone, dalekie, że zaczęło pozwalać kreatorom na eskalowanie zbiorowych strachów, a te są z natury irracjonalne. Amerykanie nie pojmowali wielu rzeczy, a między nimi i tego, że w krajach trzecich wybierano komunizm, tę „filozofię nędzy” z jego soteriologią i z każdym dniem Ameryce przybywają miliony nowych wrogów. Strachy wymuszały poddaństwo, ale także domagały się desublimacji, wyparcia. W takim okresie personifikacją nowego „palmeryzmu”, siewcą strachów, które wpierw zaczęły cementować, ale po jakimś czasie rozrywać tkankę społeczną, stał się

²² M. Kesselman, J. Krieger, *European Politics in Transition*, Lexington 1987, s. 593.

²³ S.E. Ambrose, D.G. Brinkley, *Rise to Globalism since 1938*, New York 1997, s. 77.

²⁴ Ch.H. Pyle, R.M. Pious, *The President and the Constitution. Power and Legitimacy in American Politics*, New York 1984, s. 144.

senator J. McCarthy, który rozpoczął swoje „polowania na czarownice” od ogłoszenia światu, że Departament Stanu opanowali komuniści realizujący politykę Stalina, a uwiarygodniała go sprawa A. Hissa, bliskiego współpracownika sekretarza stanu D. Achesona. Nie wydaje się, by tak otwarte polowania na „nieprawomyślnych” Amerykanów były możliwe bez przyzwolenia samego prezydenta i całego establishmentu. Mimo że McCarthy i koterie stojące za nim były republikańskie, to jednak demokratyczny prezydent dysponował wieloma narzędziami, by przeciwdziałać hysterii, a jednak nie zrobił tego, zdając się rozumieć korzyści, jakie odnieść może z takiego przyzwolenia. Takie strachy wymagały także od niego wychodzenia im naprzeciw i w tych czasach pojawiała się większość, która uważała, że lepsza przyszłość kraju wymaga większej aktywności na scenie międzynarodowej, rzecz jasna, skierowanej przeciw siewcom strachu – komunistom. Po kilku latach od końca wojny poparcie takiego stanowiska oscyloowało już w okolicach 70%²⁵. Strach więc, jaki by nie był, dawał mocną legitymację do działań na arenie międzynarodowej. Takie działania oznaczały wsparcie w realizację amerykańskich planów wobec Europy, zaangażowania się w NATO, a także w wojnę koreańską. Dla obywateli zaś konieczność ponoszenia dalszych ofiar, a taka gotowość zwykle rośnie w czasie zagrożenia, rzeczywistego czy mniemanego.

Być może jakąś rolę w tym czasie strachu grały wcale niemarginalne pomysły tworzenia zdyscyplinowanego, wytrenowanego, patriotycznego obywatela, o jakim z całą powagą mówił sekretarz wojny Stimson w roku 1945²⁶. Antyintelektualny maccartyzm, ten „paranoiczny styl” był tak łatwy w korzenieniu się za sprawą nieufności do elit intelektualnych zrodzonej jeszcze przed T. Rooseveltem i podtrzymywanej przez kolejnych prezydentów²⁷. Elity intelektualne bywają zwykle niepokorne, zbyt racjonalne dla każdej władzy i nie inaczej było w Stanach tego czasu. Wykorzystanie go w tworzeniu społeczności jednorodnej, stojącej ramię przy ramieniu, zdawało się wymogiem czasu, a „potoczni” historyzofowie twierdzili z pełnym przekonaniem, że nowe czasy są tożsame z autorytaryzmem i posłusznym władzy społeczeństwem, że taki jest wymóg „ducha czasu”. Zdawały się to potwierdzać niedawne i aktualne zmiany w samej Europie i poza nią, gdzie dominowały społeczności stojące ramię w ramię.

²⁵ R. Sobel, *The Impact of Public Opinion on US Foreign Policy since Vietnam*, New York 2001, s. 30.

²⁶ R.M. Freeland, *The Truman Doctrine and the Origins of Mc Carthyism*, New York 1985, s. 229.

²⁷ J.P. Diggins, *The Proud Decades. America in War and Peace 1941–1960*, New York 1989, s. 175.

Nie chciano zauważać, że jest to kwestionowanie wszystkich wartości „religii obywatelskiej” tłumacząc to koniecznością przetrwania.

W tle wielkich, podtrzymywanych przez prasę i zdobywającą umysły telewizję, strachów przed rosyjską bombą atomową, rozpoczęły się poszukiwania źródeł zła. Z niejakim sarkazmem jeden z autorów zauważał, że macarthyzm mógł pojawić się wtedy, kiedy „Amerykanie przestali lubić swoje małe wojny tak, jak lubią baseball, a stało się to w roku 1949”²⁸. Z pozoru racjonalni, pryncypialni Amerykanie, porażeni nieokreślonymi strachami, dawali się zwodzić człowiekowi, który jakby pochodził z ich koszmarów. McCarthy był politycznym *self made manem* opierającym się o chorobliwe kłamstwa, skorumpowanym pijakiem i hazardzistą, któremu groziło nawet całkowite wyłączenie z życia politycznego, gdyż w swoim Wisconsin miał jak najgorszą opinię. Nie wydaje się, by zyskał choć minimalny posłuch, gdyby nie jego partyjni koledzy, którzy chcieli się odgrywać na wygranych konkurentach i nagle odkryli, że konkurenci przyzwalają na takie gry, że nie bardzo przeszkadza im nawet to, że są oskarżani o dwudziestoletnią zdradę narodowego interesu²⁹.

Polowania na czarownice eskalowały z miesiąca na miesiąc, a działo się to w tle wojny koreańskiej. Na listach podejrzanych o komunizm znalazło się 640 organizacji, 438 gazet³⁰. Nie wspominamy o milionach zwykłych obywateli, bo taka eskalacja oznaczała podejrzewanie wszystkich, nawet tych, którzy przypadkiem otarli się o jakiegoś komunistę. Psychoza strachu przysłała inne problemy. Teraz wszyscy musieli myśleć o sobie. A senator H. Philbrick mówił: „Gdzie tylko pojawia się komunizm nie ma nikogo, komu można zaufać. Każdy może być komunistą – bliski przyjaciel, współpracownik, brat”³¹. Ten strach przed komunizmem, który w początku łączył Amerykanów, z czasem zaczął stawać się dysjunktywny, porażający, przypominający ten rosyjski, a na dobrą sprawę nikt nie wiedział, czym jest komunizm, bo mogło nim być wszystko. Już nie można było zaufać nikomu, obywatelski obowiązek nakazywał śledzenie wszystkich dookoła, donoszenie o wszelkich przejawach czerwieni w zachowaniach, ale szczęściem dla Stanów obywatele nie poddawali się łatwo psychozie i można sugerować, że ustrzegli się plagi donosicielstwa dzięki swej „religii obywatelskiej”. Inkwizytorzy sięgali już wszędzie, a najwdzięczniejszy w dekomunizacji był Hollywood, a tam

²⁸ W. La Feber, *The American Age. United States Foreign Policy at Home and Abroad since 1750*, New York 1989, s. 477.

²⁹ W.H. Chofe, *The Unfinished Journey. America since World War II*, New York 1991, s. 105.

³⁰ D.M. Oschinsky, *The Conspiracy so Immense...*, s. 92.

³¹ W. Schrecker, *Many are the Crimes...*, s. 141.

nawet drobne uchybienia obyczajowe można było potraktować jak objaw lewactwa. Na czarnych listach tego „czasu łajdaków” znaleźli się najwięksi twórcy, naukowcy, ale kiedy zaczęto sięgać po polityków i wojskowych, nastąpiła spodziewana reakcja tych, którzy dysponowali prawdziwą siłą.

Nie przekonują argumenty wielu historyków, którzy sugerują, że Amerykanie wreszcie przejrzeni na oczy. Oni doskonale wiedzieli przedtem, kim jest Joe McCarthy, wiedzieli, że poddają się komuś niewiarygodnemu, a spontaniczne, szybkie otrząśnięcie się z takiego strachu nie wydaje się możliwe bez inspiracji z zewnątrz, choć po dwóch latach została osiągnięta masa krytyczna strachu, poza którą widziano już tylko zniewolenie, upodlenie. Ataki na administrację, efekty w postaci sparaliżowanej społeczności, zatarcie mechanizmów demokracji, to już była lista win wystarczająco długa, a do tego doszły jeszcze sarkastyczne, kąśliwe uwagi wszystkich wrogów i „fałszywych przyjaciół” Ameryki w Europie Zachodniej, które wyczerpały cierpliwość samego Trumana, a później przekonały do działań Eisenhowera. W końcu 1953 r. postanowiono uczynić kres psychozie i zastanawiające jest to, że poradzono sobie z nią szybko i skutecznie. Truman wprost powiedział: „To używanie wielkich kłamstw w imię amerykańizmu i bezpieczeństwa. To zdobywanie siły przez demagogię bez prawdy, to sianie strachu i destrukcja wiary”³². Całkiem trafna diagnoza, ale pojawia się jednak pytanie o przyzwolenie na niemal czteroletnią działalność tego człowieka, którego można było odsunąć wcześniej, odebrać mu wiarygodność przypominając opinii publicznej jego wcale niemałe grzeszki, a nawet oskarżając o przestępstwa pospolite. Bez wątplenia McCarthy odbierał wiarygodność Ameryce prowadzącej intensywną wojnę psychologiczną, zawieszał wiarę w mechanizmy demokracji, wiarę społeczności w to, że jest narodem, bo jeśli elity były w całości czerwone, to czyż można było mówić o narodzie?

Być może o braku szybkich, zdecydowanych decyzji w sprawie inkwizytora, przesądziło zaangażowanie się Stanów w wojnę koreańską i pierwsza próba powstrzymania komunizmu daleko od granic USA. McCarthy mógł zapewnić jednoczenie się wokół jednego celu, jednego wroga, ale ta intensyfikacja sprawiała, że przekroczono bariery, strach miast jednaczyć, dzielił. A kiedy los inkwizytora został przesądzony wykorzystano nowe medium – telewizję. Amerykanie mogli wreszcie zobaczyć własnymi oczami bezkompromisowego Joe wtedy, kiedy ten zaczął atakować lojalność i prawomyślność armii. Zaatakował przeciwnika, który wyrastał na olbrzyma w czasie trwającego konfliktu i zrobił to w czasie, w którym

³² D.M. Oschinsky, *A Conspiracy so Immense...*, s. 349.

pojawił się ten nowy „metronom odmierzający rzeczywistość”³³. Miksując, montując materiały z posiedzeń komisji McCarthy’ego specjaliści dowodzili, że Joe jest człowiekiem chorym z nienawiści, miast dobra niesie tylko zło, że truje amerykańską duszę. Poczęli wyzwać się z „czernego koszmaru”, ale nowe nadzieje tłumili inny koszmar – koszmar wojny atomowej. Pod naporem skumulowanych strachów dekada lat 50. została zdominowana przez paranoję, konformizm, alienację. Pojawiły się socjologiczne diagnozy określające Amerykanów mianami „samotnego tłumu”, „milczącej generacji”, „poszukiwaczy statusu”³⁴.

Powstająca w atmosferze wielu strachów doktryna Trumana nie opierała się na realistycznych przesłankach, nie szukano innych sposobów przeciwdziałania poza militarnymi, a taki brak można zauważyć choćby w deklaracji J.F. Dullesa z roku 1953, a Dulles prorokował: „Jeżeli komunizm sowiecki będzie opanowywał kraj po kraju nadejdzie dzień, w którym sowiecki świat będzie tak silny, że żaden zakątek świata nie będzie bezpieczny”³⁵. Determinacja powstrzymania komunizmu zdawała się ogromna, jeżeli już w początku konfliktu koreańskiego generał McArthur zaproponował użycie broni atomowej dla ostudzenia zapalów Chińczyków. Już zdawała się potwierdzać przepowiednia R. Hutchima, który powiadał w czasie atomowego koszmaru: „Jeżeli przeżyjemy, pokój może okazać się straszliwszy niż wojna”³⁶, a wydaje się, że myślał o stałej groźbie użycia „broni ostatecznej”. Korea miała stać się pierwszym poligonem konfrontacji, a prezydent mówił, że Korea to Grecja Wschodu i „jeśli my nie zrobimy pierwszego kroku, zrobią go oni”³⁷. Wiele wskazywało na to, że Amerykanie byli na granicy decyzji na konflikt globalny, na wojnę, która ostatecznie rozstrzygnie sprawę dominacji, choć obawiano się o koszty takiej wojny. Nie mamy zbyt wielu mocnych potwierdzeń takiej determinacji, choć wiele mogą znaczyć opinie i obawy autorytetów, a między nimi J. Burnham był przekonany, że III wojna wybuchnie w efekcie tego konfliktu³⁸.

³³ P. Mellencamp, *TV Time and Catastrophe*, [w:] P. Mellencamp (ed.), *Logics of Television*, London 1990, s. 240.

³⁴ S. Samuels, *The Age of Conspiracy and Conformity*, [w:] *Hollywood’s America. United States History through the Film*, New York 1993, s. 223.

³⁵ J.L. Addis, *Strategies of Containment*, New York 1991, s. 137.

³⁶ P. Boyer, *By the Bomb Early Light*, London 1994, s. 142.

³⁷ M.P. Laffler, *Preponderance of Power. National Security, the Truman Administration and the Cold War*, Stanford University 1992, s. 367.

³⁸ Ch.S. Appy, *Cold War Constructions*, Massachusetts 2000, s. 1.

Daleka Korea zaczęła budzić strachy, przy których maccartyzm zdawał się dziecinnym. Nie ukrywano przecież, że ta broń istnieje po to, by jej użyć. Zwycięstwo w Korei ośmieliło ekspertów, którzy już w roku 1955 zaczęli sugerować, że Stany, niekwestionowany lider wolnego świata, mogą prowadzić limitowane wojny w Trzecim Świecie opierając się naporowi komunizmu. W podtekstach kryły się oczywiste sugestie, że możliwe jest prowadzenie ograniczonej wojny nuklearnej, a nieco później pojawiły się i takie, których autorzy zakładali nawet możliwość wygrania nieograniczonej wojny nuklearnej (H. Kahn *On Thermonuclear War, Thinking about Unthinkable*). Utwierdzało się przekonanie, że takie scenariusze są konieczne, gdyż wszystko jest możliwe, jeżeli rosyjscy przywódcy są tak niewiarygodni, tak agresywni i nie kryto takich opinii³⁹. Odpowiedzi Rosjan były spodziewane i takie postawy stron kreowały tę „równowagę strachu” aż po czas Gorbaczowa.

Na początku lat 50. atomowy koszmar przybiera na sile. Przypomnijmy, że eschatologia chrześcijańska, jak niemal wszystkich religii, jest podtrzymywana degeneratywną wizją świata, który zniszczy sam człowiek. A w tym czasie wydawało się, że człowiek, jako gatunek, poniósł największą w dziejach klęskę moralną, jaką była druga wojna światowa i niepomny tych klęsk posuwał się dalej w szaleństwie używając takiej broni, powodując się szalonymi ideologiami. Na takim gruncie pojawił się niezwykle silny katastrofizm nuklearny paraliżujący już nie miliony, a miliardy. Jego poświadczeniem były dziesiątki wizji nuklearnej zagłady szalonego świata, kilkadziesiąt do najbardziej znanych należą wizje N. Shute'a (*Ostatni brzeg*), H. Kirsta (*The Seventh Day*) i wiele wizji R. Bradbury. Ci autorzy nie mieli złudzeń. Ludzkość sama skazuje się na zagładę i będzie to definitywny koniec krótkiego panowania człowieka na ziemi. Psychoza nuklearnego strachu osiągnęła apogeum w końcu lat 50., ale cały czas przez strach przebijiała nadzieja. Nadzieja nie umiera nigdy, jak jej alegoria w kulturze – feniks. Potwierdzeniem tej starej prawdy były zachowania Amerykanów u szczytu psychozy. Młoda para z okładki magazynu „Life”, która zdecydowała się spędzić miesiąc miodowy w schronie przeciwatomowym, potwierdzała niezwykłą wiarę w przyszłość, jakiej nie mógł zniszczyć atomowy koszmar. Zrodzony przez niego strach zaczął być wypierany z pamięci zbiorowej wtedy, kiedy osiągnął postaci niepojęte i po latach obcowania z nim zaczęto go „oswajać” z fatalistyczną determinacją. Skoro wiadomo, że ilość zgromadzonych ładunków nuklearnych może kilkaset razy zniszczyć życie na ziemi, skoro wiemy, że moc decy-

³⁹ K. Holsti, *International Politics. A Framework for Analysis*, New Jersey 1983, s. 376.

dowania o losie ziemi spoczywa w rękach niewielkich, niekontrolowanych grup, a my nie mamy na to wpływu, to musimy godzić się na to, co przyniesie los. A życie musi toczyć się dalej i po to, by móc dokonywać nowych transgresji musimy szukać nowych nadziei.

W czasie tego porażającego strachu pojawili się ci, którzy byli depozytariuszami nadziei dla młodych – pierwsi kontrkulturowi rebelianci, którzy zakwestionowali systemy wartości, poddańczy stosunek do życia i zarażali takimi postawami miliony młodych, zagrażając kształtom życia społecznego, jakie uznawano za niemal doskonałe. Młodzi mawiali: „żyj szybko, umieraj młodo”, jakby nie chcąc żyć długo w tak dusznej, pełnej kłamstw i strachu atmosferze⁴⁰. Nie tylko oni, ale także pozostawieni za marginesami życia Murzyni powtarzali nie słowa M.L. Kinga, ale Malcolma X: „nie widzę amerykańskiego snu, widzę amerykański koszmar”⁴¹. A skoro państwo nie potrafiło okiełznać strachu, młodzi i czarni zaczęli spontanicznie rewitalizować stare mity Ameryki i dzięki nim lata 60. stały się czasem nie tylko buntu, ale poszukiwania nadziei poza granicami strachu. Młodzi chcieli odnajdywać swoje prawdy w świecie bez tego relatywizmu, bez bezkrytycznej wiary w państwo i jego instytucje, jaka ich zdaniem, zdominowała starsze generacje. Im nie wystarczały zapowiedzi Johnsona stworzenia Wielkiego Społeczeństwa, ani hipokryzja Nixona, który obiecywał, że za jego kadencji Ameryka będzie taka sama, jak przed laty, zjednoczona w myślach i czynach⁴². Miast tego doprowadził do stanu kumulacji fobie i frustracje Amerykanów wojną w Wietnamie, a afera *Watergate* była swego rodzaju punktem szczytowym.

Po siódmej fali buntu młodych już nic nie miało być takim, jakim było uprzednio. Ich bunt był „jak powiew świeżego powietrza”⁴³. Uświadomił Amerykanom konieczność innego spojrzenia na kulturowane wartości, konieczność radykalnych przewartościowań i można sugerować, że to oni zainicjowali Czwarte Przebudzenie Ameryki po dekadzie stagnacji lat 70. Ono jednak pojawiło się dopiero wraz z Reaganem, który poszedł śladami Trumana uznając, że określenie na nowo starego wroga zjednoczy Amerykanów, doda im wiary w siebie. Po Afganistanie i wydarzeniach w Polsce, w mediach zaczęło pojawiać się przekonanie, że zachodnia cywilizacja jest atakowana na wszystkich frontach. Były to sugestie kierowane do człowieka mitycznego, gdyż zagrożenie w tym czasie było zdecydowanie

⁴⁰ J.P. Diggins, *The Proud Decades...*, s. 198.

⁴¹ R. Takaki, *A Different Mirror. A History of Multicultural America*, Boston 1993, s. 410.

⁴² E. Foner, *The New American History*, Philadelphia 1990, s. 153.

⁴³ K.S. Newman, *Declining Fortunes. The Withering of American Dream*, New York 1993, s. 181.

mniejsze od tego z lat 50., ale nowe strachy znowu znakomicie służyły wzmacnianiu instytucji państwa, poszerzaniu zakresu jego praw i odbieraniu tychże obywatelom. Na powrót pojawiły się nuklearne strachy, zaczęto myśleć o tym, „co jest nie do pomyślenia”⁴⁴. Pojawiły się wizje ograniczonej wojny nuklearnej, ale one już nie porażały zapomnianym strachem sprzed trzydziestu lat. Zmęczenie nim, a także nijakością dwóch uprzednich dekad, było tak ogromne, że poszukujący nadziei zjednoczyli się wokół prezydenta. Ameryka Reagana odnajdywała dawną siebie w konserwatywnym stosunku do wartości, patriarchalizmie, wojowniczości przypominanymi przez tych, którzy dysponowali władzą symboliczną. Na plan pierwszy wysunięto to, co mogło łączyć, napawać dumą, czyli problemy dominacji w świecie, manifestując przywiązanie do Ameryki wybranej przez Boga. Reagan chciał niszczyć źródła strachów z „imperium zła” na czele, czasami traktując politykę jak kino i nie wiadomo, jak mogłaby wyglądać sytuacja globalna, gdyby nie ten uśmiech losu, jakim było przejście władzy w Rosji przez Gorbaczowa.

Dawne koszmary zacierały się w pamięci, a nowe nadzieje odradzały misyjnych Amerykanów. Upadek „imperium zła” następował na ich oczach, a dysponenci władzy symbolicznej wieścili pełne zwycięstwo amerykańskich ideałów. Poszukujący prawdziwej nadziei z ufnością przyjęli słowa Fukuyamy, ale to, że „wiatr historii” zmienił się aż tak bardzo było tylko złudzeniem – zauważał nie tylko G. Sartori⁴⁵. Stare strachy przez jakiś czas zdawały się tylko snem dla ponowoczesnej Ameryki, kraju konsumpcji pod znakiem McDonald’*sa*, zwłaszcza po objawieniu światu prawdziwej siły po wojnie w Zatoce. Euforia po łatwym zwycięstwie nad mityzowanym wrogiem sięgała szczytu, a o następcy Reagana mówiono, że nie powinien być wybierany, ale intronizowany.

Ale po tym łatwym zwycięstwie Ameryka znowu stanęła wobec „sumy wszystkich strachów”. Ataki na placówki dyplomatyczne, poszczególnych obywateli poza granicami sprawiały, że „Ameryka znowu zaczęła się bać i desperacko pragnąć bezpieczeństwa”⁴⁶. Atmosferę nowego strachu potęgowało niezrozumienie takich poczynań różnej maści ekstremistów i brak zrozumienia rodził naturalną agresję, przyzwolenie na radykalne kroki wobec tych, którzy byli siewcami zła. Obywatele zawierzyli państwu i ono stawało się gwarantem ich statusów, ich bezpieczeństwa. W zamian za

⁴⁴ N. Podhoretz, *The Present Danger*, New York 1980, s. 76.

⁴⁵ G. Sartori, *Rethinking Democracy. Bad Polity and Bad Politics*, [w:] B.E. Brown, R. Macridis (ed.), *Comparative Politics*, Belmont 1996, s. 94.

⁴⁶ J.P. Pinkerton, *What Comes Next?*, New York 1995, s. 39.

nie byli gotowi oddawać część swych praw, które zdawały się niezbywalne jeszcze przed 11 września. Nowe nadzieje, które budziły Amerykę, runęły wraz z wieżami WTC. I znowu – zauważał Huntington – Amerykanie muszą żyć ze strachem, o ile nie w strachu⁴⁷. To swoiste natężenie nowych strachów przyniosło ogłoszenie „krucjaty” przeciw terroryzmowi, przeciw wszystkim siłom zła zagrażającym Stanom. Prasa, z „Newsweekiem” na czele, zaczęła pisać o tej niezrozumiałej nienawiści do Stanów sugerując, że powinny odpowiedzieć złem na zło. Wpierw zbudowano dookoła Ameryki te „linie Maginota”⁴⁸, a potem wojowniczy prezydent zaczął mówić o uwolnieniu świata od zbrodniczych reżimów wspierających terroryzm, a taką reakcję wyobrażali sobie obywatele ożywiając spontanicznie nadzieję na stworzenie pokojowego ładu, nie zauważając, że polityka prezydenta produkuje próżnię i chaos.

Ta „jedyna rzecz”, jakiej powinni bać się Amerykanie, znowu jest częścią codziennego życia. Wszystkie strachy samotnej wyspy skumulowały się w ostatnich latach i znowu strachy zbiorowe przesądzają o poczynaniach państwa i obywateli skłonnych do oddawania wielu praw państwu, które wykorzystuje te strachy instrumentalnie, a czasami zdaje się je tworzyć uważając je za bardziej funkcjonalne od nadziei. Przynajmniej ich część w ostatnich stu latach była konsekwencją braku odwagi i wyobraźni polityków, uważających zresztą, że społeczności porażone strachem są bardziej plastyczne, zewnątrzsterowne, a możliwości tego „siewu strachu” są dziś o wiele większe niż było kiedyś. Niebezpieczeństwa zewnętrzne i wewnętrzne kreowane przez dysponentów władzy symbolicznej zdają się naturalne człowiekowi hołdującemu degeneratywnym koncepcjom i zawsze płacącemu jakąś cenę za wyzwolenie od strachu.

Andrzej Sepkowski

AMERICA'S FEARS

The search for safety is an obviously important component of the quest. As we think the pursuit of security offers us a point of entry. In the article the Author considers the usefulness of making questions about social fears. We are convinced, that societies exist through a process of transmission of habits, of modes of doing,

⁴⁷ S.P. Huntington, *Who are We?*, New York 2004, s. 337.

⁴⁸ E.F. Kahlmen, *The Real Online Terrorist Threat*, „Foreign Affairs” 2006, nr 5, s. 115.

thinking and of feeling from the older to younger. Without this communication of ideals, hopes, fears, expectations, opinions from these members of society who are passing out of the group life to those, who are introduced into it, social life could not survive. The Author's main attention is focused on Americans fears inside and outside of the country from its beginning to nowadays.

Every nation experiences its own fears and hopes and every tries to habituate them. America's fears, created its own, very special politics. We can see it in "civil religion" – mixture of democracy, freedom and religion and of a number of other ingredients. This "religion" generally grants America a special place in the divine order. It is like faith with its own symbols and rituals, saints and sancta, hopes and fears. In the name of their own fears and hopes Americans tend to be moralistic: they are inclined to see all issues as plain and simple, black and white. Every struggle in which they are seriously engaged becomes a "crusade". America's fears begin to create fears of the rest of the World.